Nr 3 Nal. pocz opł ryczałtem. LUTY 1929 Rok. II

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE LUDOWEJ

ORAZ SPRAWOM KULTURALNO — OŚWIATOWYM

ORGAN LUD. ZWIĄZKU ART. LITER. „PROMIENISTYCH".

TREŚĆ NUMERU:



Nr 3 Nal. pocz. opł. ryczałtem. LUTY 1929 Rok. II

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE
LITERATURZE LUDOWEJ
ORAZ SPRAWOM KULTURALNO — OŚWIATOWYM
ORGAN LUD ZWIĄZKU ART. LITER. „PROMIENISTYCH".

Warunki przedpłaty:
rocznie z przes. poczt. 6 zł. 00 gr
półrocznie „ „ 3 „ 00 „
Kwartalnie 1 „ 50 gr.
Rękopisów nie zwraca się.

Adres Redakcji i Administracji:
Kraków, ul. św Florjańska 38.
Konto P. K. O. Nr. 408.315.

Cena 1 egz.
50 groszy.

O konkretność celu.

Coś niesamowitego dzieje się w twórczości literackiej odrodzonej Polski. Dorobek dziesięciolecia, na wszystkich polach wspaniały, zaznaczył się literackim deficytem. Pomimo tryumfu w Amsterdamie, pomimo wielkiej fali konkursowych nagród! Zagasły na horyzoncie wielkie słońca a pisarze nasi przestali być ambasadorami Polski przed światem. Literatura dzisiejsza abdykowała z roli dawnej duchowej przewodniczki narodu. Odwróciła się plecami od „Wczoraj", a nie umiała wyssać wszystkich soków z „Dnia Dzisiejszego". Oszołomił ją straszliwy rozmach XX. wieku, zawrotny rozwój tego co nazwano „Potęgą Człowieka". Zniknęło pojęcie niemożliwości fizycznej. Zniknęło pojęcie kresu. Szalony wir wypadków obudził nienasycony głód wrażeń, ciągłych nowości, żądza przeniknięcia Jutra. I literatura spojrzała w to Jutro. Nie odsłania Go jednak i nie tworzy. Jest to raczej chorobliwe upijanie się narkotykiem, pogańską wiarą we wszechmoc człowieka. Następstwem tego przesyt i znużenie. więcej mowców niż słuchaczy, więcej pisarzy niż czytelników. W życiu codziennem książkę wypiera —dziennik. On nasyca głód wrażeń i „robi" politykę. Bibuła i czernidło zmieniają się w krew i wywołują długie, jałowe bezproduktywne swary, bójki na słowa, pióra i pięści politycznego zera z zerem politycznem. Nie tylko w mieście. Niestety i na wsi!

Ma to pewne pozory niesamowitości, ale tylko pozory! Bo te wszystkie zjawiska mają swoją genezę i głęboki uzasadnienie w moralnych, społecznych i politycznych następstwach, wielkiego katalizmu wojny światowej i faktu powstania Państwa Polskiego. Nie potrzeba zresztą dłużej się nad tem za-

stanawiać. Każdy niezależnie myślący człowiek zdoła to sobie wytłómaczyć.

Tu idzie jednak o rzecz inną: o ustalenie dróg jakiemi ma kroczyć praca nad odrodzeniem polskiej twórczości literackiej. Bo to wszystko, co dotąd na tem polu zrobiono, nie odpowiada wielkości zadania. To dopiero fermenty, to nieudałe próby nowatorów, to przenoszenie na grunt polski — obcych egzotycznych wzorów. Nic granitowego ze swoistego materjału — poza świetnemi eksperymentami Zegadłowicza-nie stworzyliśmy. Bo któż miał tworzyć? — Najwięksi legli w grobie lub ucichli na starość. Lwia część tych, co wdarli się dziś na szczyt „polskiego“ Parnasu-to ludzie obcy rasą, religją, całą strukturą psychiczną, tem co rdzenie polskie, co z ducha i krwi naszej płynie A młodzi? — ci młodzi, rozbici na dziesiątki grup literackich walczą o programy, szukają dróg nowych, nie wiedząc gdzie ich szukać. Wszelka ekscentryczność spaliła się na panewce.

Skąd może przyjść to odrodzenie? pozwolę sobie na kilka uwag na własną wyłącznie odpowiedzialność w nadzieji wywołania dyskusji.

Jedna jest matka wszelkiego życia i wszelkich odrodzin w przyrodzie — ciał i dusz ojczyzna — Ziemia. Wszystko, co ma być na prawdę wielkie i nieskalanie piękne, z niej soki czerpać musi w niej zapuścić korzenie, by uróść, skrzepnąć w siłę i w kwiat się rozwinąć nad kwiaty. A zatem się gnąć trzeba po to wiecznie bijące ożywcze źródło literackich poczynań do Ludu! — Tam, gdzie współżycie z Ziemią jest najbliższe a wpływ jej bezpośredni największy! Nie będzie ono zatrute przez wielki świat XX. wieku — błyszczący a gangreną dotknięty! Nie będzie tam ropiejących wrzodów, lecz zdrowie i siła, niewyczerpana twórcza moc!.

Stąd podwójne zadanie: *ukazać ludowi to piękno, co w duszy jego drzemie, by poznał je zrozumiał i ukochał, by stało się jego pancerzem i jak lekarz broniło od zarazy; — a z drugiej strony wynieść je w górę i w blaskach wchodzącego słońca światu całemu ukazać.* Wszak tam wieczyste skarby nieprzebrane są, z których Reymont, Zegadłowicz i inni po garści zaledwie ujęli. Trzeba posłuchać, jak serce Narodu bije! Bo choć ci, się elitą narodową mienią, rozumem jego są i głową, serce w ludzie zostało. Niechże ucichną trochę rozgadane głowy, niech znów dadzą głos sercu, niech posłuchają co powie!

Do Was się zwracam — bracia i koledzy „Promieniści“! Wszak podaliśmy sobie ręce by siać na żyznej glebie i plonu stokrotnego się doczekać! Nie chcę jednak mówić za wszystkich — mówię za siebie jednego. Współpraca nasza polegać będzie tylko na tem, że zaciągnęliśmy się w służbę dla jednego celu Drogi nasze nie będą jednakowe bo indywidualnosc twórcza ma swoje prawa i w karby ujętą być nie może. Będziemy zespołem różnych instrumentów, lecz w jednej grać będziemy orkiestrze. Choć nie wszyscy jesteśmy synami wsi“ (choćby niżej podpisany), to jednak wszyscy wyciągamy ku niej ręce.

Pisząc te słowa, czuję się zdławiony ciężkim oddechem urbanizmu. Zatykam uszy przed hukiem maszyn fabrycznych i gwizdem syren, przed przekleństwami szarej robotniczej rzeszy! Uciekam od brzęku złota i nawoływań krupierów, od hałaśliwego łoskotu motorów — od przekwitu i... negacji życia!

Nie wolno człowieka — maszynę karmić tylko jego chlebem codziennym! Nie wolno potęgi żelaza stawiać nad potęgę Boga!

Obudźmy w maszynie serce!
Przynieśmy mu ożywcze tchnienie wsi!
Budujmy literaturę prawdziwie narodową!
Z najczystrzej krwi polskiej poczętą.

Dr. Kazimierz Gołba.

DO ZIEMI.

Wyjątek z poematu „Polonia Restituta“.

Kto nie ukochał twej wiecznej prostoty
prochu soczysty w wiośnie, kwitnący w lat szumie,
wezbrany łzami i ciał naszych pot m,
ubrany drzew i kwiatów kolorowych tłumem?
Czeszą się burze, księżyce i słońca
świecą nad tobą grają barw djademem
i nasze serce kocha cię gorąco
Ziemio najdroższa ziemio!
Życie nasze ty wieczny spoczynku
całej ludzkości żyjącej na globie,
która handluje na światowym rynku
zapominając o tobie i sobie. —
O, szczęście naszej Ojczyzny i człeka
dostojne w ciężkich i dostałych plonach,
na które czekamy z obliczem strwożonem,
co nam zrodzisz ty błogosławiona!
Wicher cię boży bez przerwy kołysze,
noc się kładzie na twe piersi żywe
i gra wiecznie symfonje ciszy,
o twym żywocie szczęśliwym!

Nikt tak ciebie ua świecie nie kocha,
jak polski rolnik ubogi,
choćbyś mu była macochą,
zawsze jesteś dlań tęsknoty progiem! — —
Dla nas byłaś świętem pożądaniem —
jak wolności pragnęliśmy ciebie.
Przez wiek cały słaliśmy błaganie
o twe Prawo, o wolności niebo!
Ile w sobie kości ojców chowasz
skarbów złotych, ile uczuć niecisz
matko najlepsza, ziemio kolorowa,
gdy nam barwami zaświecisz!
Dziś wolnośc ą oddychasz wraz z narodem twoim.
którą synowie nasi bogactwem rozplenią,
i wzniosą w słońce szczęsne życie swoje
i twoje Ziemio!!!
Wolnością naszą i życiem,
uczuć płomieniem,
bądź błogosławiona!!!

FRANCISZEK LIPINSKI.

HEJ, RAMIĘ DO RAMIENIA!

Hej, ramię do ramienia!
Czekalim cudów wiosny,
Czekalim, rychło z cienia
Blask słońca radosny,
Po długiej, długiej nocy,
Rozjaśni nasze lice,
Czekalim Ciebie Polsko,
My, Twoich krzywd dziedzice!

Hej, ramię do ramienia!
Jutrzenka wstała Boża,
Radosne wstały pienia,
I powiał „Wiatr od morza“.
Polskiego morza fale
Szumiące i dostojne
Widziały w dawnej chwale
Idące hufce zbrojne

Hej, ramię do ramienia!
Daremnie krew nie pada,
Ziściły się marzenia,
Ożyła „bajka blada„!
Zahuczał dzwon rozgłośnie,
Wśród świstu kul dział grzmotu
Nasz Biały ptak radośnie
Swe skrzydła wzbił do lotu

Hej, ramię do ramienia!
Połączmy krzepkie dłonie!
Precz waśnie, precz zwątpienia!
Wszak w piersiach jeszcze płonie
Zapału ogień święty
I serca rozpłomienia.
Odtrądźmy życia męty!
Hej! ramię do ramienia!

J. Imielanka.

HELENA HEMPEL,

PRZYGODA PANA LISA.

Działo się to około 1898, w jednem z miasteczek leżących na zachodnich kresach austrjackiego zaboru. W miasteczku tem, żandarmem był wówczas niemiec z nazwiskiem Fuchs. Ponieważ słowo to znaczy „lis“ po polsku, nazywano go też powszechnie tem imieniem, iz tej przyczyny, że był też skryty i chytry jak to zwierzę.

Lis starając się przypochlebić austryjackim władzom, ile mógł, dokuczał polakom. Znany też był z tego w całej okolicy, bo niejednemu, przez fałszywe oskarżenia, kłopotu narobił.

W około miasteczka, rozciągały się pola, łąki i lasy. Było tam mnóstwo czworonożnej zwierzyny i różnego ptactwa. Kto chciał na nie polować, musiał mieć na to pisemne pozwolenie, za które zapłacił i miał obowiązek niem się wykazać na każde żądanie.

Dwaj myśliwi z miasteczka, Jakób i Paweł, wyszli pewnego ranka, na polowanie, ale zaledwie uszli tysiąc kroków, Paweł, przeszukawszy kieszenie, przekonał się że nie ma przy sobie pozwolenia, bo przez zapomnienie, zostawił je w domu. Już miał po nie zawrócić, ale Jakób rzekł mu:

— Nie trudź się daremnie; chyba nikt się ciebie nie uczepi za to, że go nie masz przy sobie.

— Nikogo się też nie obawiam — odpowiedział Paweł — tylko tego niepodia Lisa, bo pewnie chciałby mi zaszkodzić.

— Ech, kto wie, czy nie poszedł do jakiej wsi — może go właśnie dziś nie spotkamy. Idźmy spokojnie dalej i nie bójmy się.

Byli już niedaleko lasu, gdy z pomiędzy drzew wysunął się właśnie pan Lis i wprost naprzeciw nim zmierzał. Paweł już chciał uciekać, ale wstrzymał go Jakób, mówiąc:

— Czekaj, spuść się za mnie, a nic ci się nie stanie. Tylko daj mi słowo, że wiernie wykonasz to co ci powiem.

— Więc daję ci słowo.

— Otóż gdy się Lis zbliży, ty idź spokojnie dalej przed siebie, a nie dziw się temu co ja uczynię.

— Dobrze, zrobię tak, wierzę ci, że będzie dobrze.

Tymczasem Lis już zobaczył obu myśliwych, a myśląc sobie, że mógłby im może jaką psotę wyrządzić, przyspieszył kroku Ale był już tylko na 20 kroków oddalony, gdy Jakób skoczył w bok z drogi i zaczął biedz przez pole. Lis widząc, że Paweł idzie spokojnie drogą, a Jakób goni całym pędem, porzucił tamtego a puścił się za tym. Ale że Jakób był szczupły i zwinny, trudno było Lisowi, który był gruby i ociężały, jemu nadążyć. Parę razy się przewrócił, ale wstawszy biegł dalej.

Jakób od czasu do czasu, stawał, gdy widział, że Lis blisko, zaczynał znów pędzić — tamten zaś, stękając i sapiąc gonił go bez wytchnienia. Tak wpadli obaj w las. Jakób biegnąc, upatrzył sobie jedno drzewo, na które mógłby się dostać. Był to dąb, którego gałęzie w różne strony u góry się rozchodziły. Lekko i zręcznie wspiął się nań i usiadł na rozłożystych konarach, pierwej, nim żandarm znalazł się u stóp dębu. Lis krzyknął mu:

— Proszę zejść na dół !

— Nie zejdę, panie Lis — odrzedł Jakób — bo tylko co tu wylazłem.

— Ale zejdź pan bo ja rozkazuję! Co pan tam robisz ?

— Jem drugie śniadanie.

Lis poprzez gałęzie drzewa dojrzał, iż rzeczywiście Jakób wyjęty z torby chleb posmarował masłem i położywszy na nim kilka płatków kiełbasy, smacznie zajadał.

— Mam do pana ważny interes! — zawołał.

— A co takiego?

— Czy masz pan pozwolenie na polowanie?

— Mam, a nawet przy sobie.

— To proszę zejść z drzewa i pokazać mi.

— Niech pan wlezie na drzewo, to panu pokażę. Na dół jeszcze nie zejdę, bo nie skończyłem śniadania.

Lis wpadł w złość. Poczuł wielki apetyt do kiełbasy i pozazdrościł Jakóbowi, że ją

spożywa. Prócz tego, trapiła go myśl, że on tam do wieczora będzie siedział na dębie a ściągnąć go stamtąd nie można. Umyślił tedy sam się tam wydostać, ale mu było bardzo ciężko to uczynić, bo już dawno tego nie robił. Raz i drugi i trzeci, zsunął się na ziemię i nabił sobie parę guzów, wreszcie z trudem wygramoliwszy się na górę, krzyknął rozjątrzony:

Pokażże pan to pozwolenie!

Jakób sięgnął do kieszeni a wyjąwszy papier, podał mu Lis mocno się zdziwił i spytał:

— Czemużeś pan tak uciekał przez pole, mając ten papier przy sobie?

— Ale ja wcale nie uciekałem; bieg'em sobie tylko dlatego, że doktór mi poradził abym dużo używał ruchu.

— Przecież widział pan, że za nim gonię, czemuż się nie zatrzymałeś?

- Myślałem, że doktór i panu przepisał bieganie, a żeś pan na mnie nie wołał, nie widziałem o co panu chodziło

— No, ale pocóż pan lazł na drzewo? przecie tam pan ruchu nie użyjesz?

— Bo ja śniadanie najlepiej lubię jadać na drzewie, dlatego, że stamtąd roztacza się piękny widok.

Żandarm się wściekał, poznawszy, że z niego kpią, a on nie wie, co na to odpowiedzieć. Wreszcie, przypomniawszy sobie że z Jakóbem szedł Paweł, zapytał:

— A tamten drugi czy miał pozwolenie?

— Nie wiem; może miał a może nie miał. Idź go pan zapytaj.

— Ale Paweł w tej chwili był już w domu. Lis więc zakląwszy tylko zucha, zaciął zęby w bezsilnym gniewie.

Ludzie z miasteczka prędko się dowiedzieli o jego niemiłej przygodzie, a gdy szedł ulicą, zapytywali:

— Panie Fuchs, a jak to było z tem bieganiem po polu? — A dobrze też było panu na dębie siedzieć?

Lis nie mogąc się uchronić od docinków podał się o przeniesienie w inne strony. Ludzie swobodnie odetchnęli, gdy opuszczał miasteczko.

NIE WOLNO.

Nie wolno płakać, ani narzekać,
Ani bezradnie łamać rąk,
Lecz z wielką wiarą trzeba czekać —
Skończenia wielkich ciężkich mąk.

Nie wolno płakać bez wahania,
Choć serce łzawi ciężki żal,
Lecz czekać słońca rozświtania,
Hartować duszę niby stal.

Nie wolno płakać, ni się smucić,
Ani wylewać gorzkich łez,
Lecz się do pracy znojnej zwrócić —
Znaleźć ciarpieniom ducha kres.

Maryla „Widz.“



ZWYCIĘZKI WJAZD KOŚCIUSZKI DO OBLĘŻONEGO MIASTA.

POLSKA.

Polska wolna! Powstała! Nasza święta
Koroną chwały wśród świata połyska...!
Idą, Idą Jej Dzieci, Jej wierne! Orlęta,
Wolne, u swego wolnego ogniska!

W otchłań zagłady pierzchły łuny krwawe —
Onej pożogi, morderczej zamieci
Dziejów, zczezną! krzyk sępów plugawych,
Bo grób je pożarł, grób krwawych stulecil

Mogiła męki, ta mogiła, w której
Deptało Polskę trzech krwiożerczych czartów,
Pierzchła w dnia, kiedy waliły się góry
Tronów, dla których grób śmierci otwarto.

Orędzie zgonu nad Polską wróg czytał
Kiedyś-przed wiekiem, lecz Bóg gromy wzbudził
I strząsł posadą globu aż do szczytów
Piramid, wiodąc zastęp nowych ludzi!

— — — — — — — — — — — —

Idą! Kto? W o l n i — ! A serca im gorą
Umiłowaniem W o l n o ś c i i C z y n ó w
Tych heroicznych, co Polskę ubiorą
W diadem świetności, girlandy wawrzynów!

P o l s k a ! Już wszędzie grzmią młoty w żmud męce
Pracy. Znój spływa po grzbietach zgarbionych
Oraczy, którym popękały ręce
Przy pługu, siewbie, rodzącej nam plony.

W słońcu zdobytem w wiekowych męczaniach
Duch się wolnego N a r o d u rozpostarł,
I P r z y s z ł o ś ć dzielnem ramieniem ogarnia,
Bo pragnie dziełu budowania sprostać..!

W kół dzwonią młoty, kielnie i lemiesze,
W zwyż rosną porty, gmachy i fabryki,
Zgrzyt maszyn ducha niemocy rozgrzesza
I tętni życiem wolnej Republiki. –

Sława-o sława ! Ludu Męczennico,
Tyś wolna ! W księgach jaśniejesz żyjących
Jak Cherub, z mieczem Triumfu gorejącym,
Boś Ty najczystszych I d e i skarbnicą !

Wojciech Byczek.

ŻYCIE.

Jeśliś jest z nieba, z ducha boskości,
Rzucony w ziemskie pyły nicości,
Czemuż tak mało, z taką obawą
Podnosisz w górę powiekę łzawą?

Wszak księga cudów, natchnień rozkoszy,
Porywów życia, gromów rozbłysku,
Pieśni o czynie, co senność płoszy, —
Ta księga żyje w źrenic pocisku.

Więc nacóż czekać w życia rozterce —
Życia, którego wiatr liczy chwile . . .
Poco gnić w ciężkiej, chmurnej żałobie ?

Przecie na świecie jest słońca tyle . . .
Lecz, aby ono zabłysło tobie,
W oczach miej uśmiech, a wewnątrz-serce!

Wład Wosnak.

J. S. POBRATYMIEC

ORGANISTA Z KOPYTKOWA.

Opowiadanie.

Przed jakie trzydziestu laty, urząd organisty przy kościele parafjalnym w Kopytkowie sprawował niejaki pan Dmuchowski, dziś już nieżyjący. Był to człowiek okazały z potężnym brzuszkiem, jak Zagłoba ze skałką na oku, i jak Zagłoba rubaszny. A był mistrzem w obmyślaniu forteli. Stałych poborów nie miał żadnych, tylko otrzymywał pewne remuneracje, to za śpiewanie podczas nabożeństw, to za pogrzeby, śluby, kolędowanie po parafji, itd itd. Przy takim stanie rzeczy dochody te były nader marne, i gdyby nie posiadał domu własnego i większego kawałka gruntu, (któren dla niego i dla jego rodziny jakie takie, jednak stałe, utrzymanie zapewniał.) toby musiał śpiewać bardzo cienko. To też kiedy tak w poborach swych upośledzonemu, raz bieda na dobre dokuczyła, postanowił poczynić jakieś kroki aby u plebana wymusić dla siebie lepsze uposażenie W tym celu — przed Wielką Nocą — poszedł do niego do spowiedzi.

Klęknąwszy przy konfesjonale jął obnażać duszę swoją z grzechów powszednich, a gdy ich już całą kolekcję wyładował, począł jąkać się, stękać, coś przegadywać, ale tak niejasno, że ksiądz proboszcz nie mógł go zrozumieć o co się rozchodzi. Poznał tylko że ma jakiś ciężki grzech na sumieniu, a z trudnością przychodzi mu go wypowiedzieć.

— Bracie kochany! — przemiawia doń, —miej ufność w miłosierdzie boskie, i powiedz śmiało i odważnie co masz do powiedzenia, albowiem takie niedomówienia niewystarczają. — Ze skruchą wyznaj ten grzech wielki, i pozbyj się ciężaru jaki przygniata duszę twoją!

— Kiedy też ojcze wielebny okropnie nie śmiem, — no, nie śmiem, nie śmiem. Jednak.. jednak skoro jegomość tak po ojcowsku do mnie przemawia, to powiem; to powiem.. Otóż.. otóż.. z wielkim żalem przyznam się przed dobrodziejem, że nieraz w uniesieniu... w uniesieniu tylko, — to sumiennie wyznaję — kiedy mi bieda strasznie dokuczyła, to w uniesieniu, z wielkiego żalu,. z żalu wielkiego...!

— No, no, powiedzże coś takiego uczynił z tego żalu powiedz! ulżyj swojej duszy.

— To z tego wielkiego żalu... nieraz... o! nawet dosyt często... naraz... nie dwa razy.. ale dużo dużo razy..

— No coś zrobił? coś zrobił?

— Przyklinałem księdzu proboszczowi.

— Ale? — no i co?

— Życzyłem mu nieszczęścia...

— Dale! dalej!

— Życzyłem mu by go szlag trafił...

— O! nieba!

— A tak taki drab ze mnie! Życzyłem mu by nogi połamał, przez zazdrość, przez zazdrość straszną. że on we wszystko obfituje, a ja organista, z żoną i dziećmi, biedę klepać muszę. — Taki grzesznik ze mnie straszny. Z żalu to robiłem, wprawdzi, i w uniesieniu, ale jak można było coś podobnego. Trza było cierpieć! — wyznaję: szelma jestem, bezbożnik. Wciąż mu tak przyklinałem, życząc nieszczęścia; ze skruchą to wyznaję, i z żalem.

Gdy wystękał to wszystko spowiednik zaczął mu roztrząsać sumienie, już i tak wyznaniem tem ogromnie wzburzone, kładąc w uszy co to za grzech jest bliźniemu źle życzyć; by więcej tego nie robił, by się poprawił, itd. itd. ale oprócz rozgrzeszenia uzyskał organista po tej spowiedzi to co chciał i do czego dążył, to jest uregulowanie i podwyżkę poborów swoich.

O przygodach jego, jakie doznał po wsiach podczas kolędowania na Boże Narodzenie, cuda opowiadał.

Bo to teraz, tam już naród oświecony; czyta gazety, książki przeróżnie. ale dawniej panowała tu straszna ciemnota. Po takich dziurach, gdzie świat — jak powiadają —zabity był deskami, po kurnych chatach gdzieś zdala od środowiska miast i wiosek położonych, — książka była gościem nie-

znanym. Gdzieś się tam niekiedy u nich zabłąkał jakiś kalendarz, który był lekturą na cały rok, o ile w tym domu ktoś czytać umiał, a u więcej żądnych wiedzy, oprócz kalendarza, znalazłeś tylko wydawnictwa na jarmarkach u kramarzy kupowane, jak np. „Rinaldo Rinaldini, wielki bandyta, albo „O Henryku, co go cyganie ukradli", czasem „Zaczarowana lampa Aladyna", „O siedmiu mędrcach", itp.

Dzisia tam już prawie wszędzie dociera jakiś tygodnik przynoszący wiadomości z całego świata, to książki rozjaśniająca umysł lub godziwie czytelnika rozweselająca. To też nic dziwnego, — że jak opowiadał ów pan organista, — dawnych czasach, skoro kolędników gdzieś przyjmowano, doznawali oni przeżyć ciekawych i niespodziewanych. I tak w niektórych miejcowościach usiłowano ugościć ich podając sperkę wraz z mlekiem gorącem, w którem była ona gotowaną, a raz się przytrafiło że stawiono przed nimi garnek tak samo pełen mleka gorącego i po kromce chleba razowego.

Aby nie obrazić gospodarzy, ksiądz z swym dworem, tj organistą i kościelnym zabrał się do jedzenia, ale coś to mleko taki jakiś niezwykły smak miało, że niepodobna je było spożywać. Zaczęli się więc krzywić, i ile możności jak najmniej popijać; w tem przystępuje do nich gospodyni, odzywa się do księdza:

— Siągnijcież jegomościu łyżką głębiej, do dna gorniusia, bo jak widzę, tylko tak po wiyrchru probujecie!

Jegomość zamieszał łyżką w „czaploku", na samprzód i wydobył na wierzch... ziarnka kawy, jeszcze nie palonej.

Gospodyni chcąc uraczyć kolędujących, kupiła w mieście kawy surowej, niepalonej, niemełtej, i ugotowała ją w mleku na surowo, sądziła bowiem, że tak się ten przysmak przysposabia.

Ciekawsze co ich spotkało gdzieindziej.

Było to w pewnej wioszczynie w górach, gdzie „djebli całemu światu dobranoc powiedzieli", to znaczy gdzie mało kto dochodził, tak leżała ona na uboczu, gdzieś pod skałami, pod lasami, w zapadłym kącie. Ludność tam zamieszkała, była bardzo ubogą, nędznie się odżywiającą, i nędznie ubraną, bez oświecenia. Ale przy kolędowaniu wraz z księdzem zaszedł tam i organista, i kościelny, aby wśród parafjan nie robić wyjątków.

Ksiądz niedbał jakiego go tam gdzie przyjęcie napotka, ale organista z kościelnym zmachawszy się strasznie pod górę, takiego nabrali apetytu, żeby i „wilka zjedli" A tu w tym domu gdzie się znaleźli, bieda nędza wyglądała z każdego kąta, i choć gospodarze bardzo radzi byli z tych odwiedzin, nie mieli niespodziewanych gości czem przyjąć.

Organista i kościelny spodziewali się zjeść jakiego „króla", obsypanego bułeczką i przypieczonego na maśle, a zarazem napić bodaj po kieliszku wódeczki, a zgoła nic nie podają. Pan Dmuchowski zaczął zagadywać, przemawiać do gazdów, ale oni głusi byli na wszelkie zaczepki. Widząc, że tu domyślnością nikt nie grzeszy, już otwarcie w imieniu wszystkich, zaczął się dopominać przekąski, łapiąc się za abdomen, i „sklamrząc", że po tym spacerze na wysoką górę tak jest głodny, że na dół — w obec upadku sił — zejść nie potrafi.

Ksiądz, słysząc to, zgromił go słowem, że przecież nie na jedzenie tu przyszli, i żeby sobie gospodarze nic do wyrzucenia nie mieli. Obdarzył dzieci w chacie napotkane obrazkami, i zabierał się do odejścia. Ale organista tak omdlałym i zbolałym wzrokiem spoglądał na gospodynię, jakby-co najmniej trzy dni nic nie jadł, i już miał kończyć życie z głodu. Więc gospodyni zaczęła przepraszać wszystkich, do kolan się chyląc, ża u nich taka bieda, iż prócz trochę ziarna, któregoby dopiero mleć było trzeba, i kapusty oraz kwaśnicy w beczce, na razie w domu nic nie mają.

— Chyba zeby panoskowie ziedli te kasę, co jest w kominie od wczorajsa; — powiada w końcu i wyjsnuje gdzieś z kąta garnek z kaszą, i stawia go na stole.

— Ale ktoby tam jadł ciągle! — mówi ksiądz „wikaryjo", żywo protestując i słowem i ruchami, — schowajcie to w tej chwili dla dzieci. Ja wcale głodny nie jestem, a i wam nie radzę się ciągle zapychać Przyjdziecie do domu, to będziecie jedli!

I już wyszedł nawet z izby do sionki, kropiąc ściany wodą święconą, aby to kolędowanie w tej chacie prędzej zakończyć.

Ale organista z kościelnym, jak tylko zobaczyli ze nie mają przed sobą tego „absydenta“, — przysiedli sią do garnka.

— Dajcie kobieto łyżek! ino prędko!! — No i podczas gdy część domowników wyszła za księdzem przed dom, gospodyni pozostała w izbie podała im żądane łyżki, a „dwór“ zmiatał z garnka kaszę, aż im się z czupryn kurzyło.

— Dobro. ale czemsik zalatuje! — wypowiada po chwili — wśród uczty — organista, i zajada dalej aż mu się uszy trzęsą.

— Umhu! zalatuje!! — jakby perchem. Ale to nic! — przytakuje kościelny z wysiłkiem, bo ma usta pełne jadła.

No i sprzątają je w okamgnieniu, boć przecież nie wypadało, by ksiądz wikary zostawił ich w tej chacie, i od szedł gzieś dalej, bez nich.

Gdy już w garnku dno zaczęło przeglądać, mówi organista do gaździny:

— E! psiorki z wos straszne! niby to bieda! bieda! tego niema, tego niem! jo — a jak widzę — wy se tu dogodzocie żołądkom. – Kasza była dokumentnie pomaszczona.

— Włośnie! — przytakuje kościelny wyskrobujac jeszcze łyżką boki garnka — To samo zauważyłem. Tłustości w niej obficie.

I kończy ucztę z pośpiechem.

— Ej! moisciewi! gdzieby my se ta tak dogodzać mogli. — Odpowiada na to gaździna — U nos je sie zawdy jałowo. Casem ta przy niedzieli coś nie coś okrasę mlekiem, ale nic więcej.

— Bajki gadacie! A dla kogóż była ta kasza?

— A dyć to tak: nasą babke coś strasznie od poru tyżni w żołondku bolało i bolało Radzili jej okłady gorącemi pokrywkami, to zielem, to tem to owem, — i nic. Żodne lekarstwo nie skutkowało. — Tak dopiero nas stryk, — co z niego cały doktur, — poradził zeby ugotować kasy jaglanej na mleku, i dobrze ją psim sadłem pomaścić, no i — gorącą przykładać na pępek. — No i takeśmy zrobili! — Babce zaroz sie zrobiło lepiej, a to lekarstwo, zebrane do caplocka, schowałam, i panoskowie je zjedli. — Nekze wom bedzie na zdrowie!

Jeszcze gospodyni nie dopowiedziała wszystkiego, jak organiście i kościelnemu zrobiło sie ogromnie nie dobrze. Objęli rękami brzuchy, i ledwo wypadli do sieni, już zaczęli „wołać Ulricha!“ — Chciało im wnętrzności wytargać.

Gaździna w ten moment zabrała się do odczyniania im uroku, ale oni obydwaj, bladzi jak po ciężkiej chorobie, z energicznem wyrzucaniem w górę ramion, jako objawy protestu, (bo i mówić trudno im było), zebrali resztki sił, i wypadli w pole za księdzem.

I długo, długo pamiętali potem to przyjęcie kolędowe. —

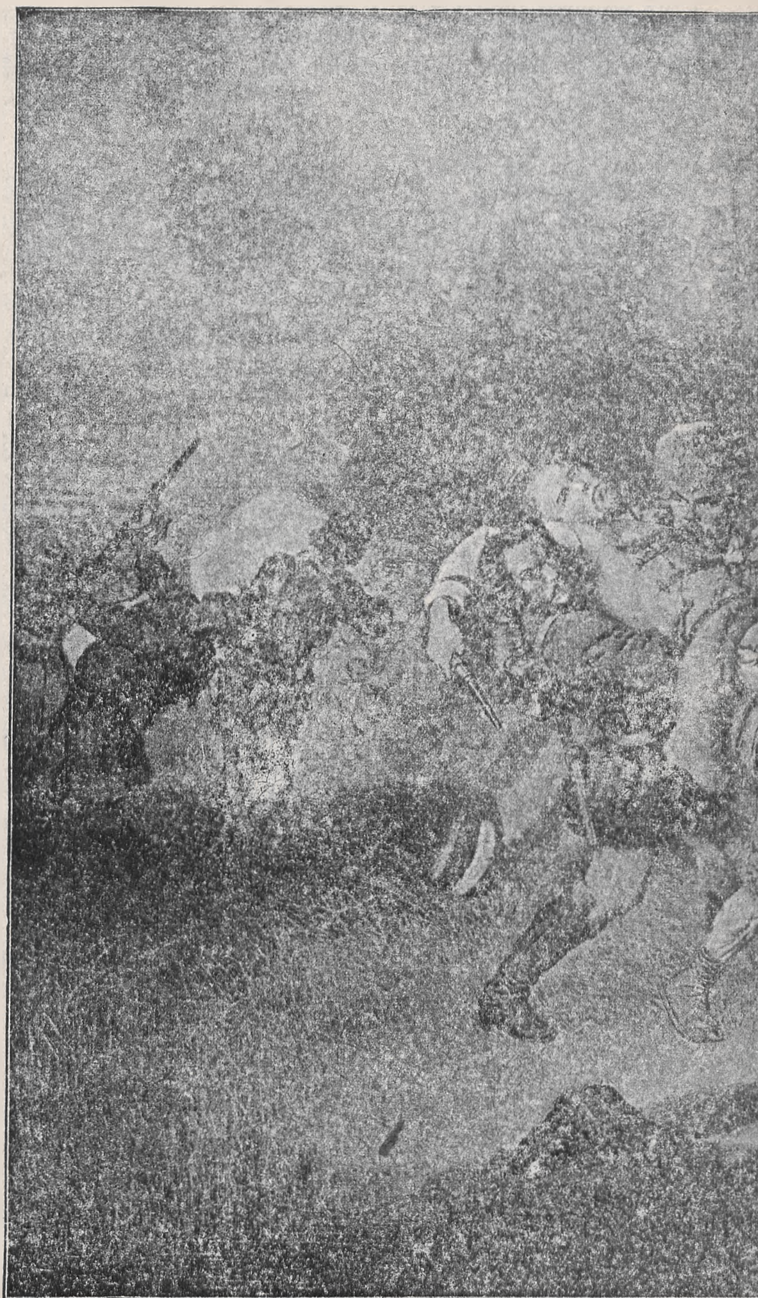
MYŚLI

I cały naród, choćby wyciosał najsilniejsze państwo, zmarnieje, jeżeli nie zbuduje człowieka.

Górski.

Poznać piękno jakielwiek rzeczy — to najwyższy punkt, jaki możemy osiągnąć

O. Wilde.



EPIZOD Z WALK POWSTA



CH W 1863 ROKU.

BARTŁOMIEJA GADUŁY O WOJTKU KOCIUBIE

I O JEGO ŻONIE MAGDZIE Z KŁONICOW SIĘ RODZĄCEJ, OPOWIEŚĆ

Wojtek był w jadle, za pozwoleniem, okrutnie wyomirny. Lubioł zjeść duzo i nie byleco. Chłop był krzepki i do roboty zuch. Kiej zjadł, za pozwoleniem, miskę grochu, a drugą kapusty z kartoflami, a przekąsił bochenkiem razowego chleba, to jak poseł z cepami na klepisko, to grzmiał, za pozwoleniem, że o parę stajań słychać go było.

Ale nie tyla o Wojtku, ile o jego babie Magdzie, z Kłoniców się rodzącej byłoby co gadać.

Magda była nie duzo i nie grubo, ale co język to miała taki, za pozwoleniem, długi, ze mozno było się nim opasać. Platuśnica była wielka i sekutnica okrutno. To też kużden jej z drogi schodził; a co Wojtek, to się jej bał jak ognia. I chociaż on był chłop tęgi i silny, a ona chuchro, to go wselako tak nieraz wygrzmociła kijanką albo jensem drewnem, ze az za pozwoleniem, sinielce mioł po ciele. Sam przechodzący wele ich chałupy widziałem jej zaciętość.

Było to w przypołudnie, w same żniwa. Skwar był okrutny, jak to zwyczajnie w tę porę. Wojtek siedział na progu i wyjadał z miski restę grochu; a ze był chłop jadło lubiący, a robota była w polu wielka, widać nie dojadł bo wylizawszy, za pozwoleniem, miskę, zawołał:

— Magduś, a nie mas tam jesce grochu, albo na ten przykłod kartofli?

A Magda kiej nie wrzaśnie:

— Dość tego zarcia, do roboty się bierz, kosa jesce pewnie nie wyklepana...

Wojtek, ze to nie dojadł, był zły i powiada:

— Milc, milc! — zeby ja jeno ciebie nie wyklepał!

Magda jak to usłysała, jak nie porwie łopatę, jak nie skocy... No, myślę, chłop zły bo głodny, wyrwie babie łopatę i nakładzie co się zmieści...

Ja patrzę, a Wojtek w nogi. Zgłupiałem... Baba, za pozwoleniem, za nim... Wojtek bez płot. Ale, ze to był chłop bięzki, a jesce, jakby nie był, po obiedzie, więc ino jedną nogą boz płot przerzucił... i tak ostał niemogący się ruszyć, ani w jedną, ani w drugą stronę...

I tak wisiał na płocie, jak nie przymiarzając koszula, albo za pozwoleniem, jensa bielizna; a Magda dobiegłsy, chwybiła za Boze posycie i waliła jak w ciasto.

Zal mi się chłopa zrobiło, bośmy to i w kumoterstwie ze sobą byli, wreszcie nijako było patrzeć na taką, za pozwoleniem, obrazę Boską... Doskoczyłem, wyrwałem Magdzie łopatę i zdjołem Wojtka z płota. Baba z wyzwiskami poleciała do chałupy, a ja do Wojtka w te słowa:

— Wojtek, dopókizty das się tak babie, za pozwoleniem, potyrać?

A Wojtek otrząsnąwszy się powiada:

— Już ja jej kiedyś dorznę!

A ja na to:

— Daj Boze! Daj Boze.. i popatrzywszy na Wojtka litościwie, ze to sobie jesce bolące miejca rozcierał, poseddm dalej.

I na tem się stało.

Było to akuratnie na same zapusty. Sołtys Grządziela zenił, za pozwoleniem córkę, za gospodarskiego syna z Majdankowa. Cała wieś była zaprosona.

Weselisko było spaniałe: jedzenia i picia moc: i wołowizna i wieprzowina i baranina i becka śledzi, zeby to do picia był, za pozwoleniem, większy apetyt.

Po wiecerzy na wiwat, kiedy juz państwo młodzi, jako mąz i zona wzięni się za ręce i chcieli sobie, za pozwoleniem, przejść do drugiej izby, zeby to spokojnie pogruchać, jako nie przymierzając dwa gołębie, kuzden, co kto miał, podniósł do góry: ten kielisek, ten butelkę, ten talez, ten nóz, ten widelec —i zacęliswa krzyceć: wiwat!... niech zyją...

Jakeśwa się tak juz za pozwoleniem wykrzyceli — sołtys powiada:

„Hola“!

Wsystko się ucisyło. A sołtys do mnie w te słowa:

— Zeście to, Bartłomieju, człek bywały i nie od parady, głowę na karku mający, powiedzcie oracyją, jako sie patrzy na porządnem weselu. Wiem dobrze, ze jak zechcecie, to

nie słowa, a miód z wasej gęby popłynie. -

Nijako było zapoprzycyć Wtedy wziąwsy kieliszek w jedną rękę, drugą grznotnąłem w stół i mówię: Sanowne osoby! — Chciałem powiedzieć — moje ludzie — ale ze było duzo gości z miasta, więc jakbym powiedział: „ludzie“, toby się mogli obrazić... Więc mówię: Szanowne osoby!... Jesce kawał casy przed potopem, jak ludzie się... za pozwoleniem, jako gołębie, albo jense pastwo łączyli w pary. A w cas potopu, Noe z rozkazania Bozego, wzion do arki, oprócz swojej famílji, jensych zwierząt po parze: parę koni, parę wołów, parę prosiąt, parę psów i wszystkich par po parze: A kiedy się ziemia obsuszyła i zaceno na nią wszystko wyłazić, Pan Bóg powiedział: zyjcie i rozmnazajcie się jako, za pozwoleniem, ryby we wodzie i piasek na polu Tak tez cynili...

Do was się zwracam, młoda paro, abyście wedle rozkazania Bozego cynili i pamiętali o rybach i piasku Ty Jaguśko, słuchaj męza, a cego Boze broń, ręki na niego nie podnoś, bo to grzech wielki. Nie zważaj na to, że cię tam Jaśko casem kijem wykrzese, na to on je chłop i twój prawy małzonek, bo to rzec zwycajna i Panu Bogu miła, ale za pozwoleniem... Chciałem dalej prawić, a tu jak mi ktoś wrzaśnie nad uchem: „Nie prawda, nie prawda... jako zywo!“ ... Patrzę, Wojtkowa Magda Wszyscy zdębieli.. Bo przerwać oracyją, to tak jak księdzu kazanie. Zrobiło się cicho, jak zeby kto makiem siał.. A ze z kąta podniósł się Wojtek i powiada: „Mówcie dalej, Bartłomieju, bo to święta prawda“... Magda jak się nie porwie, jak nie zacnie wyzywać: „Ty obwiesiu! Ty omentro! Ty sufraganie!“... Ty taki.. Ty owaki... Obraza Boska.. Patrzymy wszyscy w Wojtka, jak w tuza; stoi jak słup... Jednoraz, Magda poskocyła do niego i pięścią, za pozwoleniem, w sam nos go sturchła. Wojtek się ocknął.. Widać przyszła na niego godzina opamiętania, bo porwał, za pozwoleniem, kij lescynowy w kącie stojący, przycisnął Magdzi głowiznę do ziemi i zacon smarować. Zostawiliśwa im miejsce wolne, bo piknie było patrzeć, ze to była męska góra. A ze Magda była jędza wielka, więc i z niewiast zadna się nie rusyła z pomocą. Wojtek przerzucał kij lescynowy z jednej ręki do drugiej, a prał, ze az chmury kurzu pod sam sufit się podbiły. A takie miał w garści pomiarkowanie i akuratność, ze chociaz mu kij frukał jak wiatrak, to wselako nie trafił — ani w plecy, ani za pozwoleniem, w głowę. Magda z pocątku wyzywała, az źle było słuchać, ale w końcu krzykła: „Wojtuś, bój się Boga, daruj!“. Wtedy Wojtek postawił kij w kącie, odsapnął-i siadł na ławie, jak, nie przymierzając król, albo, za pozwoleniem, jensy potentat.

Ale ze to na weselu łatwo o poswar, a jesce łatwiej o zgodę, więc jakeśwa zaceni do Wojtka i do Magdy przypijać, to raz to drugi, a ze się pogodzili i za pozwoleniem, uściskali, a było juz wele południa, jakeśwa ich z muzyką i śpiewaniem do chałupy odprowadzili.

Było to jakoś na wiosnę. Posedem do Wojtka pozyczyć pługa, bo mi się mój strasecnie, za pozwoleniem, rozchlebotał, a kowal, pijanica, lezał jak kłoda o świecie nie wiedząc. A ze to było w samo przypołudnie, Wojtek siedział, jak ano wtedy, przy misie i akuratnie reśtę strawy z niej wygarniał Magda jak usłysała, ze chłop siora łyżką po pustem dnie, podesła, pogłaskała go za pozwoleniem, po łbie-i pyta: „Zjadłeś groch“. A Wojtek seryjo: „Zjodłem“! — „A moze chces- pyrek ze skrzyskami?“ A Wojtek seryjo: „Chce!“... Zarazem pomiarkował, ze teraz zyją jak Pan Bóg przykazał i ze Magda na Wojtka ręki nie podnosi, za to, jako za grzech śmiertelny, piekło by ją nie minęło A Wojtek zyskał w niebie zasługę, ze bo kobiecie do zbawienia pomógł... cego ja to mówiący, za pozwoleniem, Bartłomiej Gaduła, wszystkim niewiastom zycę. -

Jan Włodkowski.

POLECIMY!

Polecimy złączeni jak dwa białe duchy
Ponad uśpione sioła i kwieciste łąki
W łunach błyskawicowych po gwiazdę otuchy
Z pieśnią życia na ustach — z taką jak skowronki..

I nie zniżymy lotu, lecz utni w zwycięstwo
Dusz szlachetnych, w podniebne dźwigniemy je szlaki!
W piersi gnuśnych wlej my czar mocy i męstwo,
Którego pozazdroszczą im królewskie ptaki...

Ożywimy krwi tętnem martwe bryły lodu,
Poruszymy stojące na grobach szkielety,
Rozpalimy Znicz wielki wśród cmentarzysk chłodu.
Żarem słońca błyśniemy gdy staniem u mety!..

Daj mi dłoń, Albatrosie, niech ją ścisnę mocno!
Pod namiotem z szafiru dziś zawrzem przymierze
Zanim zegar wydzwoni godzinę północną.
Prężmy złociste skrzydła w nadziei i wierze!

Robert Rylz.

CO MI POWIESZ?

Co mi powiesz, Jasiu mój kochany?
Idąc ze mną, staniesz na urwany
Brzeg przepaści, jak noc przed miesiączkiem.
— Kasiu moja, daj rączkę, daj rączkę!

— Co mi powiesz, Jasieńku nieboże?
Idąc ze mną zabłądzimy w borze,
Ciemność nocna, błędna nas otoczy,
— Kasiu miła, daj oczy daj oczy!

— Co mi powiesz, Jasieńku mój drogi?
Pójdziem, pragnąc przez pustyń rozłogi,
W koło przestrzeń bez oazy pusta,
— Kasiu, Kasiu, daj usta, daj usta!

— A co powiesz, Jasiu? Przez wygodę
Stracę wszystką, mą krasę, urodę,
Mą brzydotą wstręt w twym sercu wzruszę,
— Kasiu, daj mi Twą anielską duszę!

— Co mi powiesz, Jasieńku, Jasieńku,
Gdy w starości, tak pomalusienku,
Pójdziesz ze mną ku cmentarnym wrotom
— Zostań z Bogiem, Kasieńko sieroto!

Jantek z Bugaja.

SZAŁ.

Z mórz namiętności ognistej otchłani,
Na rozhukanym wybiegłszy rumaku,
Grozą brzemienny krzyk dobywa z krtani,
Z furją grasując po życiowym szlaku;
I przekrwawioną rzucając źrenicą
Na wszystkie świata rozchylone strony,
Ciska zdradziecko dławiącą pętlicą,
Pędząc jak orkan, czy duch potępiony.
Gdy zchwyta kogo w wichrzonym zamęcie,
I pod kopyta rzuci swego konia,
Szarpie szponami i depcze zawzięcie,
Ciągnąc gwałtownie w bezkresne ustronia.
Szybuje dalej i w swą moc zakuwa;
Często rozpustą rzucając przed siebie,
A często życie z człowieka wysnuwa,
Dziko chychocząc na jego pogrzebie.
Zbrodnicze wpycha do ręki narzędzie,
I napastuje zgubnemi radami;
Śmiercią natchnione wysyła orędzie ....
Jak zwierzę szarpie ostremi zębami.
Znowu, gdy czuje beznadziejność w łonie
Odsłania rany w zjawisku znikomem
I w sercu ludzkiem jak w morzu utonie,
By życie całe zakończyć pogromem.
Patrzy, gdzie rzucić skazańcze wyroki,
Gdzie rozprzestrzenić wichrów swych podmuchy,
Wszędzie, gdzie pędząc, zwròci swoje kroki,
Dotąd skłębione, rozkiełzuje ruchy,
Które wirując w naglącym zamęcie,
Lubieżnie, srogie przybierają kształty,
Z dzikim rozpędem wymierzają cięcie,
W chciwie przez niego już umysł rozdarty.
Wije się wężem w zburzonym rozmachu
Przez swą zaciekłość duszę ludzką kala,
Nie zna wyrzutów i nie znając strachu,
W mózgu gwałtowne ognisko zapala.
Pożarem żyje choć lata w obszary,
Jak smok się wżera do ludzkiego serca,
Krzykiem podnieca w objęcia kary
Pędzi ofiary dziki przeniewierca.

I piorunowem uderzeniem błyska
Grasując w łonie jak bezecna zmora, —
A pierś wyrzutem sumienia przyciska.
Grzebiąc ciężarem krwawego potwora.

Jan Włodkowski.

FRANCISZEK LIPIŃSKI.

LEGENDA O CZORSZTYNIE.

(opowiadanie gazdy)

Hej, beło to downo, kiela juz lot!

Jesce ruiny zamków inocy wyglondały jak tera...

Kasik, gdziesik beły dźwirze do tych kómnot, gdzie są tero jamy, te dziury od piwnic i pokojów.

Piwnice beły jesce nakryte i piknie zamurowane, ze nikaj nie beło mozno się wścibić, ani do nik dostać.

Ludziska beły ciekawe, co się w nik znajduje. U góroli gadano cichcem, ze w tych hań, piwnicach, som zakopane skarby. Nie wiedzieli tylko, w której strónie.

Biedzili się, susyli główska, jakby się do nik dostać, jakby te skarby wykraść. Nikt nie beł na tyle odwazny, aby przyjść i zbadać te piwnice

Godanc, ze djabeł jeno wi o tym skarbie i trzeba śnim podpisać cyrograf, to mu pokaze kaj lezy.

Nie dawało to spokoju pewnemu gaździe, bardzo odwoznemu i ciekawemu. Kcioł mieć duzo wiela pieniendzy, bo beł straśnie skompy i chytry i nie pożycyłby ani grosa nikomu, choćby kto konał. Trzymał pastucha, ale nie dał mu paść krów wele zamku, bo ino śpekulował, jakby się tam dostać do tych pieniendzy.

Śperoł, sukoł, pukoł laskom, odgrzebywoł kamienie i nie mógł nicego wybadać. We dnie nie mógł wiele łazić po groniu, bo ludziska to siali, to orali, albo zbierali zyto i owies.

Cekał na noc...

Bo w nocy, to je nolepij!

Kiej zaświeci ksienzycek jaśniućko, to sie do tych piwnicy dostanie.

Ale sie nie kcioł kumotrać ze szatanem

Boł się djobła...

Umyślił se iść przed północkiem, zeby sie tylko nie spotkać śnim.

Nikt nie wiedzioł o jego śpenetrunku tylko jego baba.

Una to zawse nabywała go i lebiedziła, zeby tylko go nikt nie ubiegł i pirsy nie wykrodł tego skarbu wielgaśnego.

Roz, kiej babie kozoł trzimać krowy na postronku, i oglondając się, zeby go ta chto nie widzioł, wzioł młot i kilof duzy i wybijał dziure do piwnicy.

Nie sło mu to jakoś.

Zreśtom boł się zadnia jesce spekulować kole muru.

Jednyj nocy przigotował sie na tom wyprawe.

Wzioł latarke i ten som kilof i worek.

Sed śmiało i pewnie ku zamkowi, ku tyk ruinom.

* * *

Nie beło nikaj widać zywej duszy . .

Sed i radował się, ze juz hnetki bedzie wielgim panem

Kupi se wielo morgów pola, piknom chałpe, krów, świń, kur, kacek i gęsi i wóz i konie i wszyćko...

I jaze mu się zamrocyło w głowie, kie o tem zacon myśleć. Jesce raźniej sed ku zamkowi.

Kiei przised ku zacętej robocie, proł z całą siłą w skały, az sie spocił

Ciężko mu to sło, bo mur beł straśnie gruby.

Nie odpocywoł, jeno proł, ile jesce siły mioł w sobie, az wybił dziure małom, potem wienksom.

Pot kroplisty, jak dysc loł sie mu po tworzy.

Wsed rychlikiem do dziury.

Zapolił latarkę i sukał po kazdziuśkiej sparze skarbów Sed i sed, ale jakoś nic nie mógł znaleść.

Luto mu beło w tych wielgachnyk piwnicach . . .

Ziąb go chycił i telepał nim, jak wiechciem na wietrze.

Północ go zastała w piwnicy.

Zacon błądzić i nikaj ni mógł znaleść dziury, ka nią wsed.

Poco wrzeszczeć na całe gardło.

Strach go wzion, bo latarka słabo mu prziświcała...

Idzie jesce..

Obejrzoł sie i widzi hań, pod gzymsem małom skrzineczkę...

Łap za nią !

Ale ji nie mógł podniść, bo beła ciężko straśnie !

Dźwignął ją i niesie, aż upod na kamieniu

Latarka mu zgasła...

Przelonkł sie..

Zmora zacyna go dusić ...

Duchy go strasą ze syćkich stron ...

— Kciołeś skarbu ? — krzycą do niego.

Skarbu chcioł, a wie, co znalozł, zamiast skarbu?

Hej głupi chłopie !

Tak krzicą do niego ..

Chce sie przezegnać a nie moze.

Chce krziceć, nie moze ...

Głosu ni moze wydać z garła ...

Upod na ziemię poroz drugi ...

Ha! ha! ha! — śmiały się duchy.

Jedna zjawa zaceła go termosić.

— Wis, cos znolozł?

— Co? — spytoł zestrachany śmiertelnie.

— Śmierć!!! — zaczęły krziczeć wszyćkie duchy.

— O lo Boga! O lo Boga! — zacon jęceć.

Po kwili wstoł, ale słabsy..

Dźwigo skrzineczkę, nie moze jij dać rady. Mency sie straśnie.

Zaświco zapołkę, gaśnie mu..

Kce iść, ni może..

Znów wrzescy i jęcy.. Pomyślał se, ze poleci po babe. Leci, a tu ni moze trafić nazod, nie wi, kierom śparom wsed...

Leci przed siebie suko dziury... Ani śladu. Dobiego do jakiesik piwnicy, a wtem gruchnęło przed nim, az go ogłusyło..

Piwnica sie zawaliła, a on ni mioł casu ani zipnąć. Nikt we wsi nie wiedzioł, co sie śnim stało.

Baba wrzescała, ze raty przeraty, ale nie kciała nikomu pedzieć, ka jej chłop sie podzioł.

Róznie zacyli ludziska godać.

Godano, ze ją chłop odlecioł. Baba z jankoru aze osiwiała. —

* * *

W tyj to nocy, kie sie wkradoł po skarb ten gazda, ta piwnica, chtóra sie zapadła, takiego huku narobiła we wsi, aze ludziska zerwali sie na równe nogi z łózek, bo nie wiedzieli co sie ka stało. Przecie burzy nie beło.

O świtaniu dopiero dowiedzieli sie ludzie we wsi, ze piwnica w ruinach sie zawaliła i tylego grzmotu narobiła.

Ludzie boli sie iść ku zomkowi, ze w nim strasy i djobeł go pilnuje.

Nik nie kcioł słyseć o tym skarbie, a nocom furmani boli się jechać, zeby ich djobeł nie strasył.

Nawet konie sie boły i demba stawały na drodze.

Az raz jakiesik turysty posły do tyk piwnic i znaleźli skielet tego chłopa.

Godano, ze to djobeł, co skarbu pilnowoł w piwnicach, z głodu zjod chłopa, który mu chcioł wykraść skarb ...

JAN MARCINEK



W ZIMIE.

Łupu, cupu, łupu cupu,
Dygocą boiska,
W takt cepami walą snopy
Zawzięcie chłopiska.

Ziarno z sykiem wylatuje
Tryskając na strony ....
W polu mroźny wicher jęczy
Hula przez zagony.

Prószy białym puchem śniegu
Z dachów na doliny,
Z za opłotków wypadł zając
I pognał w gęstwiny.

W domach szarych oddalonych,
Ogień z pieców bucha —
W sadzie nagie drzew konary
Szarpie zawierucha.

Targa czuby wikliniaste
Wierzb przy gminnej drodze,
Stadko wróbli wypłoszonych
Cierp, cierp, krzyczy w trwodze.

Na przypiecku usiadł dziaduś
A przy nim kocina
Zmrużył oczy, razem z dziadkiem
Pacierze zaczyna.

Łupu, cupu, na boisku
Chłopi snopy biją,
W domach baby żur gotują,
Przędą, piorą, szyją . . . .

Jan Marcinek.

HANKA KŁOSIŃSKA

ECHO.

... Hej! Wieku młody, mój przebogaty
We sny tęczowe i marzeń kwiaty,
Czemużeś zmarnił młodych lat tyle
Na zwiędłe kwiaty, marzeń motyle?
....*Jantek z Bugaja.*

Jur Olcha znalazł się na małej, podmiejskiej stacji. Wokół migotały błękitne góry, jak ogromne bławaty, słały się zboża zielo-



no—srebrną makatą, a słońce snuło złote pisanki i malowało promienie na kolejowych szynach

Była sobota Tłum robotników czekał w podnieceniu na przybycie pociągu. Gorączka obejmowała ludzi wraz z upałem, czasem poprostu ktoś się pożalił na szarą dolę, lub zaklął z cicha, a tęsknota za swobodą wykwitła w zmęczonych i oślepłych od dziennego światła, oczach dziewczyny-robotnicy.

Jur Olcha był subtelnym obserwatorem i z łatwością dorozumiewał się słów, nie słysząc ich nawet, jedno spojrzenie starczyło mu czasem by poznać do głębi duszę człowieka. Posiadał w wysokim stopniu dar odczuwania, właściwy wszystkim ludziom czynu.

Tłum ludzki bezbarwny i bezimienny najwięcej zawsze nasuwał mu myśli i wrażeń najszczerzej absorbował jego uwagę. Twarze robociarzy, hieroglify troski, były dlań ulubioną lekturą.

Dla czego? Może..., że tak rzadko spotykał tych ludzi, na drodze swego obecnego życia, a może, że uczucia ich, dusze, myśli, dzięki prostocie były zawsze szczere- jakby pozłacane kwietnemi pyłkami, a może tylko dlatego... że sam wyrósł, z pośród nich, że sam kształtował duszę i siły, za ich radą, a pierwszy chrzest pracy z ich przyjął rąk

Jak to dawno! Boże!

Ile to mórz go kołysało na swych falach, od owej chwili, ile uśmiechów kobiecych i snów na drodze mu się rozgwiaździło. Ile burz, radości, wiosen, czynów, przeszło! Ile zwiędło porywów!

Wszystkie słońca, czary, uniesienia, jakie świat ofiarować może, skrystalizowały mu się w pamiętnikach wrażeń. Zbladły jeno korale wiary, modlitwy i kochania.

Umiał chcieć, zdobywać, działać, znał katechizm ambicji i dumy, znał zbytek-rozkosz istnienia, jeno gdzieś na rosztaju zgubił zaklęcie miłości.

Co go właściwie porwało z wywczasów wakacyjnych z wyżyn szwajcarskich, z nad toni wodnych i lilij, od ocząt jasnowłosej tancerki, nie wiedział. Byłaż to tęsknota, za krajem młodości, czy przelotny kaprys?

Po co jechał do Polski, do rodzinnych Wrzosów, wszak nikt go tam nie wzywał, niczyj uśmiech nie powita, niczyje ramiona nieuwiędną radośnie w uścisku?

Z gwizdem i białą rozwieją pary, wjecha pociąg. Smutny, biedny, robociarski pociag Tłum rzucił się do drzwi i okien, niesforny jak fala -ozhukanej burzą górskiej rzeki. Zalał wagony i czepiał się poręczy dachów, schodów, parł na przód silny tęsknicą za wolnością, za wichrem i barwną paletą pól, na której nurza swój mistrzowski pędzel

słońce'

Hej! w dal, w czar, w pożogę blasków!

W ostatniej chwili, nagle, jak grzmot letni zrodzona ochota, kazała mu wspiąć się na czarny pomost dachu.

Zapanował nad ludzką falą smukłą, strzelistą figurą, rozumnemi oczyma finansisty, które przywykły rozkazywać eleganckim podróżnym garniturem.

Pociąg się rozkołysał.

Wiew ranny od pól uderzył mu w rozchylone usta i nozdrza.

Hej! Na miły Bóg! Tak jeździł kiedyś przed laty, po żmudnej pracy tygodniowej, do domu. Wtedy miał jeszcze dom, białą chatę, wśród malw matkę staruszkę, dłonie zczerniałe w trudzie, twarz zesmoloną od parowych kotłów i maszyn, duszę skołataną od huku motorów i rozkazów majstra ale myśl wolną, ale serce młode, bogate. O leż bogatsze niż dzisiaj, gdy wchłonęło wszystek czar, przepych i z udę wielkiego świata, gdy zaznało potęgi złota!

Hej! Jechał wtedy jako dziś, biły mu pokłony te góry z opali, te zorze z rubinów i głowy ludzkie i rozkwitłe czeremszyny. Kłaniały mu się w pas maki, a serca czepiały się piosnki słowicze.....

Śniły mu się złociste msze niedzielne, świa!ła gorejące i Jagusine uwodne oczy, jej usta kalinowe

Hej! Kochana dziewucho! Jedyna! Krasna rumieńcami, jako zorza o świtaniu

Rzucił ją jak się rzuca kąkole, choć była samą dobrocią.

Dało mu życie brylanty-zaszczytów i złudy fatamorganę, a jednak...

Czuł się, jak zdetronizowany książę i coś mu w sercu szlochało tak serdecznie jak wtedy, gdy był jeszcze młodym, jakieś utajone lutnie zagrały w chaosie myśli To rozdzwoniło się echo młodzieńczych jego borykań z wichrzycielem-losem.

I grało, grało, grało, rwąc wolę do postanowień, budząc uśpione wzruszenia.

W duszy Jura Olchy rozpoczęło się żniwo wspomnień.......

Pociąg strudzoną, czarną piersią, z iście chłopskim uporem, orał przestrzeń, jak chłop ugory.

Przed oczyma Jura rozłożyły się w zieleni uśpione Wrzosy.

Rodzinna Wieś! — Chrupowisko strzech słomianych, wśród, których serce mu bić zaczęło, studzienne żórawie, które mu o wieczorze kołysanki grały, smreków rozhowor tajemniczy i pogański, przekrasny, przepych wrzesowisk.!. Rodzinna wieś, dzieciństwo, epopeja wolności i zuchwałych na bosaka gonitw, psot, zachwytów i śmiechu!

Rapsod o życiu osnutem z tęczy!....

Do rozmarzonej głowy uderzył bezwład, rozhulane myśli zmroczyły źrenice.

Zachwiał się, stracił równowagę, w rozszalałym tańcu zawirowały przed nim łuki kół wagonów i taśmy szyn Wiatr zrzucił go jak nitruza z czarnego dachu i zmiótł na pole, ale on nie czuł bólu, jeno słodycz a pieszczotę czarnej, wilgotnej niwy ojczystej.

Ziemio moja, rodzinna. Snów moich młodych kochanko, nie opuszczę cię więcej, ale tobie oddam całe me siły i wiedzą zdobytą na obczyźnie. —

I odżyła w nim chłopska twarda, prosta dusza, nad ślub ze złotem, przekładająca ślub z ziemią.........

MYŚLI.

Życie twórcze wznosi człowieka do genjalności Życie bez tworzenia — jest martwe.

L.

PIEŚŃ O LWOWIE.



Mów serce, mów —
Niech cała Polska słyszy,
Czem dla nas polski Lwów,
Którego Pełtew kołysze....

Mów serce, mów!
Niech pieśnią wszyscy się dzielą,
Że bastjonem Polski Lwów,
Z techniką i Cytadelą....

Bo stąd w cichą noc listopada,
Gdy ziemie te, zda się, były niczyje.
Drużyna Orląt wypada,
Z okrzykiem. „Polska niech żyje„!..

Mów serce, mów!
Potomnym wszem pokoleniom,
Krwią imię P o l s k a pisał Lwów ...
Cześć! Pokój tym cieniom,

Co szły wśród wichrów,
Z próżną, na armat ogień dłonią.
By kruków wieść złowieszczą,
Zagłuszyć dźwiękiem broni!

Mów serce, mów!
Co rok w jesiennej ciszy,
Że tyle cnót ma Lwów,
Ile ich było w Zawiszy!

Józef Kapuściński

Odpowiedzi redakcji.

WP. E. NIEMCZ. Wiersz nadesłany później. Prosimy o opracowanie ludowych klechd, basiń, podań z tamtejszych okolicy.

WP. J z BUG. Wiersze wszystkie, które Pan nadesłał, wydrukowane. Czekamy na dalsze. Oczekujemy prozy Pana.

WP. J. BYLICA. Nadesłany wiersz zamieścimy. Nie mogliśmy go dać do nr. 3 ponieważ był bardzo długi. Prosimy o krótkie, treściwe wiersze.

Prenumeratę za „Promień" wpłacili: Ignacy Biegacz, Działoszyce, Dr. K. Gołba Rożdzień - Szopiennice, Paweł Gołczyniak Zadziele, Józef Jacuk Wygoda, Regina Kamerówna, Obroszyn, Hanna Kłosińska, Biała, Józef Mach, Lublin, Jan Marcinek, Wieliczka, Stanisław Milczanowski, Lwów, Miksiewicz, Lwów, Onufry Miniajluk, Tłumaczyk, Marja Pfefferówna, Obroszyn, Jan Płatkowski, Myślenice, Jan Pelczar, Wrólik szlach Bazyli Piotrowski. Gwoździec, Michał Pawłowski, Śniatyn, Stefanja Surmanówna, Kresno, Franciszek Skowyra, Starlej, Julja Talarówna, Andrychów, Władysław Worek, Sędziszów, Tomasz Zgrych, Obroszyn.

Redakcja starać się będzie wszystkich nowych prenumeratorów tą drogą zawiadamiać o wpłaceniu prenumeraty, z prośbą o jednania nam czytelników, bo w miarę przybywanie prenumeratorów będzie można pismo powiększać i ulepszać.

Fr. J. TRYSZCZYŁA „Sieroty" poszły, drugi art. zatrzymujemy narazie bo chętniej widzielibyśmy raczej jakąś nowelę, legendę, opowieść o co prosimy, bo pióro pańskie dobre.

JAN WŁODKOWSKI: wiersz zamieściliśmy; dramat przeczytany, ale jak dotychczas cena jednego z naszych członków niezbyt pomyślna, zobaczymy co powie drugi, gdy skończy czytać.

JAN MARCINEK: „Czarownica" pójdzie do druku, wolelibyśmy ją raczej prozą niż wierszem. Najwięcej odpowiadałaby nam jednoaktowe humoreski, bo te mają na wsi powodzenie zapewnione.

ANTONI GŁADYSZ „Promień" jest pismem poświęconem literaturze, wobec czego niechętnie widzimy w nim artykuły polemiczne, czy dydaktyczne w rodzaju „Książka jest skarbem", „Wyzwolenie ludu" itd Takie art. nadają się do pisma politycznego w rodzaju Przyjaciel Chłopa, Piast itd.

HANUSIA DOBIECKA: Życzymy przyjemnej zabawy, myślimy, że potrafi pani wsłuchiwać się w tamt. klechdy i opowiadania. O takie rzeczy prosimy.

DANUTA JASNA: Owszem zrobimy zjazd, poznamy się, bo warto poznać tych wszystkich skrybów ludowych! Narazie staramy się ugruntować pismo, by nie uschło na suchoty, jak to miało miejsce o tylu pismami tego rodzaju.

Za poparcie dziękujemy.

— o —

Od redakcji

Z powodu trudności technicznych „Promień" ukazywać się będzie stale z opóźnieniem kilkodniowem, tak, że czytelnicy otrzymywać go będą około 15-go każdego miesiąca.

— o —

W drugim numerze przez przeoczenie zecera nie zamieszczono podpisu po wierszem „O Kasi wójtównie" pióra Jantka z Bugaja, za co Redakcja autora przeprasza.

— o —

Pod nazwą „KSIĄŻNICA WSI POLSKIEJ" organizuje się wydawnictwo, reprezentowane w Poznaniu, Warszawie i Krakowie, a poświęcone propagandzie rodzimej kultury i sztuki ludowej: redakcyjny zespół stanowić mają: Emil Zegadłowicz, Jędrzej Cierniak, Feliks Gwiżdż, Władysław Orkan i Zofia Kossak-Szczucka.

Projektowane jest wydanie kilkudziesięciu tomów książkowych dwóch serjach. Pierwsza objąć ma utwory i prace autorów, wyszłych z ludu i związanych silnie z jego kulturą, oraz ideologją, ale należących obecnie już do klasy „inteligentnej".

W drugiej serji wypowiadać się będą przedstawiciele autochtonicznej twórczości ludowej, ze swą poezją, muzyką, malarstwem, drzeworytnictwem, czy historją

Red. odp. Franciszek Lipiński. — Druk. „Kresowa" w Krakowie

Kraków — Drukarnia Kresowa.